



04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 813 42 34 tel./fax 813 44 95

TEATR

03-902 WARSZAWA
ul. Jakubowska 14

7/9 07-09-99
Nr z dn.

TEATR

TRANSPORT POSĄGÓW

Piotr Zaczekowski

Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach: AKROPOLIS Stanisława Wyspiańskiego. Opracowanie tekstu, inscenizacja i reżyseria: Bogdan Tosza, scenografia: Aleksandra Semenowicz, muzyka: Zygmunt Konieczny, choreografia: Leszek Czarnota. Premiera 7 V 1999.

Ciągle coś mnie niepokoiło. Poszedłem po raz trzeci. Dawano poranek. Nim kurtyna poszła w górę, wyszła prelegentka. Streściła *Akropolis*, powiedziała coś o wielości tradycji, nadmiarze kultury i erudycji. Obraz, na który czekałem, stawał się dodatkiem do humanistycznego fakultetu. Czy mógł być czymś więcej?

W centrum proscenium odsłonięto posadzkę, wycięto szczątkowy orkiestron. O jego przednią ścianę oparto drabinę. Podniosła się kurtyna. Zabrzmiała muzyka Koniecznego – jak galop i pośpiech. W głębi, poza przezroczystą zasłoną, zastygły dwie postaci. Jedna – wyprostowana, z chroniącą twarz woalką, druga – pochylona, może klęcząca, obciążona skrzydłami. O krok czy dwa od scenicznego okna, z lewej, położono niską kolumnę – „kropielnicę”. Obok niej stanął Poeta w artystowskiej, długiej marynarce (Andrzej Dopierała). Wyrecytował: „Poszli i na kościele ostawili dymu powłoczną chmurę...” Pominął następne zdania didaskaliów. Odrzucił słowa o „oltarzu – trumnie”, bo też plastyka spektaklu odrzuciła trumnę św. Stanisława. Zapowiedział opowieść nie tyle o miejscu, co o czasie: „tej nocy ma się duch przetworzyć...” Z lewej i prawej nadeszli – w dwóch parach – Aniołowie (Artur Świąs, Agnieszka Arendt, Jerzy Kuczera i Wiesław Kupczak). Szaty mieli powłóczyste i bardziej szare niż przypominające „srebrną odzież”. Nie tyle od trumny biskupa Stanisława odstąpili, co opuścili transport posągów, czegoś nieziemskiego poniechali, odnaleźli cielesność. Zaczęli poetcko gwarzyć, pytać o ciągłość wspólnoty – „Bracie, czy to ty?”. I rozpoznawać nagły i dziwny los. „O! Jakże ręce, ręce bolą...”, poskarży się Anioł 2. „O ręce, ach, jak bolą...” powtórzy Anioł 1. Czworo Aniołów zbliży się do siebie i oddali, trochę sztucznie: jak na lekcji tańca. Kiedy wspomną o trumnie, która „obrzydła”, będzie to trumna, z której wymknęło się życie po prostu, nie zaś trumna podtrzymywana przez figury aniołów z ołtarza w katedrze wawelskiej. Życie Aniołów jest grą w życie, w obrzęd, w początek w „Imię Ojca i Syna, i Ducha”. To właśnie przebudzenie będzie źródłem wszystkich dalszych przebudzeń. „Godzina żywa” stanie się godziną Niewiasty (Anna Wesołowska). Zeszła z pomostu rusztowania. Rzeźba z nagrobku Ankwicza podjęła istnienie, powiedziała swoje o „stracie”, o „skoszonej kolu-

mnie”. Poezja zainicjowała związki jednej nocy. I ulotny erotyzm. Amor (Piotr Rybak) – też zejdzie z rusztowania, dotknie scenicznej podłogi, partnera. Zza kulis wyjdzie Pani (Alina Chechelska). Aniołowie powiodą ją „w świt”. Powiodą w słowo. Poeta pokaże się to tu, to tam, zmierzy coś wzrokiem, kogoś. Odmierzy czekanie. Zapłaczę się w obraz z Tempusem (Czesław Stopka), stanie między Klio (Violetta Smolińska) a Panną (Ewa Kutynia). Muśnie kosę albo księgę na chwilę weźmie. Będzie nadawał znakom nowe znaczenie, przeobrażał je w rekwizyty. I zaraz je porzuci, pozostawi.

Nie myślę o Wawelu. We wnętrzu teatru rozwija się teatr. Niby-życie drga, migoce. Przejrzyste to, jednak coraz bardziej nużące. Mówione tłumi teatr. Całe czekanie zredukowano do wyczekiwania na literacki cytat. Skrótów jest niewiele. Nic nie rwie rytmu patetycznego uogólnienia, w którym jest i śmierć, i życie, i miłość. Tyle że kiedy rozpisano owo uogólnienie na role, przypominało lepiej czy gorzej obsadzony turniej recytatorski.

Podobało mi się jednak zamykające I akt spotkanie Panny i Włodzimierza (Grzegorz Przybył). Pełne dysonansów, bo Kutynia chciała finezji i flirtu, zaś Przybył tylko naiwnego patosu. Może na scenę opadnie bukiet kwiatów. Może podniesie go poeta. Zostanie z nim. I z chwilą ciemności. Kiedy wróci światło, dojrzymy podest, dwóch wojaków – halabardników. Poeta zapowie inny epizod: „Noc w mieście głęboka; Skamander połyska, wiślaną świetląc się falą”. Na horyzoncie proste, drewniane ptactwo. Unieruchomione, złowione. Znów są kwiaty, bukiet „fijołków”. W rękę Pazia. Gra go Rybak. Grzegorza Przybyła w tych próbach trojańskich obsadzono jako Hektora.

Dialogi aktu II są nieco – jak należy – heroiczne, nieco filozoficzne. Na dworze Priama, jak na dworze Klaudiusza, wciąż baja się o sensie życia. Mówi się też o walce, ale nie odczuwa się, że za kulisami czai się wróg zewnętrzny. Wszystko jest skupione w jednym miejscu. I bardzo współczesne. Nie będzie duetu Pazia i Polikseny, koncertu dzwonów. Pozostaną jednak wszystkie kwestie o sukcesji na trojańskim tronie. Pozostanie też jakiś dystans między ludźmi, nieufność w królewskiej rodzinie. Statysci wtoczą w drzewie utoczony tron. Siądą na nim Priam (Stopka) i Hekuba (Maria Wilhelm). Ubrani na modłę renesansową. Dostojni i anachroniczni. Parys (Marek Ślosarski) i Helena (Ewa Kutynia) wniosą niepokój, beztroskę i egoizm. I znowu między bohaterami dramy krążyć będzie Dopierała. Podrepcze po podeście albo stanie z boku tronu. Albo powiedzie Parysa i Helenę za kulisy, do „łóża”. Andromaka (Chechelska) zapyta Hektora o sens bijatyki. Powstrzyma ból i nagle zajadzie uwolni go, spuści ze smyczy. Zaatakuje Hektora. I



FOT. AGNIESZKA PIOTROWSKA

Agnieszka Arendt (Aniol), Piotr Rybak (Amor)

świat cały. Wtedy Poeta podniesie kołnierz marynarki. W geście bezradności. Może uciekając przed chłodem. Śmiercią. A w finale mitologicznego obrazu, u kresu aktu, partnerować będzie wieszczoniu Kasandry, będzie Krukiem, echem kruczego „kra-a”.

Z aktu III – „biblijnego” – pozostało niewiele. Nic nie stresci losu Jakuba, tła jego konfliktu z Ezawem i dobrowolnego wygnania. Poeta zainicjuje trzeci epizod: „Na zegarze wybija godzina (...) czas się świętych przejawów poczyną”. Skrawek didaskaliów poprowadzi do snu Jakuba. Z wyciągu opadnie drabina. Po jej obydwu stronach aniołkowie: rzeźbieni w drewnie, kolorowi, pełni powietrza. Jakub (Przybył) odwróci się ku nich twarzą. Spowiją go dymy. Sterczeń będzie jak bryła, rozbita i ludzka tylko dzięki rekwizytowi – kosturowi pasterza. Wahadło aniołów dopełnią głosy. Uroczyste, anielskie. Głosy aktorów grających Aniołów I aktu będą wieszczyc dobro i zadośćuczynienie. Kiedy wybrzmia, zniknie drabina i piękno. Rola rzuci Jakuba do bitki. Cięcie pozostawi poza planem spektaklu biblijną „partyturę”. Z wszystkiego, co opowiedział Wyspiański za Księgą Rodzaju, pozostaną już tylko zapasy z Aniołem (Ślosarski). Dookreśli go ważny epitet. To „Czarny Anioł”. Jego prorocstwo wrzuca w ciemność. W „Konieczność”. Jakub podejmie walkę: z prorocstwem, z wiedzą przychodzącą z zewnątrz. Upadnie. I podniesie się jako Harfiarz. Gdzieś z prawej ustawią bibelot – harfę. Przybył sięgnie po królewski diadem: „Król jestem i monarcha ludu moje-

go, a pastuch li byłem prostaczy”. Opowie teatr psalmów, najpierw na przemian z Poetą, później już sam: „Rzekłeś, że przyjdiesz, Słowem zbawisz, że stąpisz nad grodzisko, że nas niewolne ułaskawisz i wezmiesz pośmiewisko”. Muzyka to kontrapunktuje.

Hektor jest Jakubem, później Dawidem. Jeden i ten sam aktor niczym dmuchawa wchłania w siebie cały sceniczny świat. Rozbiegany prolog zamienia się w statyczne teatrum, w indywidualny popis. Jak efekt nadpływu Noc (Wilhelm). I Chór Eumenid. Zatańczą. Na krawędzi czasu i na skraju zapadni. Znikną – we wnętrzu czasu i teatralnej zapadni. Przebiegnie Aurora (Kutynia), wezwie Feba, wezwie świt i jakieś rozwiązanie. Harfiarz poszuka słów, poszuka retoryki: „Jakże tym śpiewom wydolę? Mrok jeszcze tuli świątynię”. W egzemplarzu roli poszuka zaśpiewu finału: „O śpiewam, śpiewam, narodzie! / O rzeszo, głosów mych słuchaj!”. Tak naprawdę słuchają jedynie licealiści i partnerzy wyczekujący ukłonów. Zabraknie Salvatora, oczekiwanie zgaśnie jak wyczekiwanie na ostatnią pozycję scenariusza. Jeszcze tylko Poeta – Dopierała podejmie zamykające wszystko wersy didaskaliów: „I pieśń nad ludem szła nad ziemią (...) Hej, pieśń skończona, pieśń Wawelu”. Zapadnie ciemność. Zda mi się, że nie pieśń o Wawelu słyszę, a liryczną piosnkę o Katowicach. Łątwą. Otwarto księgę, ale sztambuch przeczytano. I teatralną sztampę.